

Niewierna

REYES MONFORTE

Niewierna

Przełożył Zbigniew Zawadzki

WYDAWNICTWO WAM

Tytuł oryginału

LA INFIEL

Una inquietante novela sobre una española
capturada por el terrorismo islamista

© Reyes Monforte, 2011

© Ediciones Planeta Madrid, S.A., 2011

© Wydawnictwo WAM, 2017

Wydanie trzecie

Redakcja i korekta: Zofia Palowska, Dariusz Godoś
Opracowanie okładki na podstawie projektu Magdy Kuc:
Izabella Marcinowska
fot. © kbrowne41/Shutterstock

ISBN 978-83-277-1407-7

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260
www.wydawnictwowam.pl

Druk i oprawa: ABEDIK • Poznań

Dla Pepe,
mojej miłości, mojego życia,
mojego wszystkiego...

*Któż zdoła nas pokonać,
skoro nasza jest miłość?*

Crispín (Jacinto Benavente,
Los intereses creados)

Daję ci miłość, daj mi więc życie.
Jacinto Benavente, *Los intereses creados*

Oko za oko uczyni tylko cały świat ślepym.
Mahatma Gandhi

– Jestem gotowa na śmierć.

Z dumą przypatrywała się swemu odbiciu w lustrze, szczęśliwsza niż kiedykolwiek do tej pory. Widoczny w lustrze obraz mógł budzić grozę: drobna, niemal dziecięca sylwetka czternastoletniej dziewczyny, która przed kilkoma sekundami pożegnała się z matką, korzystając z telefonu komórkowego najnowszej generacji:

– Idę do raju, mamó. Wszystko w rękach Allaha. Módl się za mnie.

Drobne ciało – miała najwyżej metr czterdzieści pięć wzrostu – zostało ciasno obwiązane dziwaczny, prymitywnie wykonany pas wypełniony materiałami wybuchowymi, silnie krępującym klatkę piersiową. Można było pomyśleć, że uszyty z czarnego materiału futerał, okrywający jej ciało niczym płyta nagrobna, zna najbliższą przyszłość dziewczyny. Mężczyzna, który pomagał w przygotowaniach do wielkiego wydarzenia, musiał się mocno natrudzić, żeby płatanina czerwonych kabli, plastiku, metalu, taśmy samoprzylepnej, gumy i materiałów wybuchowych nie powiększała nadmiernie jej brzucha. Najprawdopodobniej po raz pierwszy w życiu ta młoda kobieta o jasnej skórze pozwalała się dotykać rękami mężczyzny. A w każdym razie po raz ostatni. Ale teraz nie miało to już dla Ranyi znaczenia.

Utraciła ojca i dziewięcioro spośród jedenaścioro rodzeństwa, gdy patrol policji irańskiej wraz z oddziałem żołnierzy amerykańskich wtargnął do ich domu o świcie w połowie ramadanu. Pierwszy od celnego strzału w głowę

zginął jej najukochańszy starszy brat, którego nie tylko szanowała, ale też bardzo kochała i otaczała czcią jak bóstwo, nawet kiedy to na niego właśnie spadła odpowiedzialność za zorganizowanie jej ślubu. Przyszły mąż, któremu miało przysługiwać prawo poddawania żony chłoscie, był od niej o trzydzieści lat starszy. Śmierć brata uniemożliwiła zawarcie małżeństwa. Ranya całymi dniami płakała z żalu, że nie dosięgła jej śmierć u boku brata, krzyczała z bólu, nie mogąc pogodzić się z tym, że nie przypadł jej w udziale ten sam los co jemu. To on przecież, podobnie jak i reszta braci uznany za mudzahedina, wprowadził ją w świętą sztukę wytwarzania materiałów wybuchowych. To razem z nim – zagorzałym islamskim radykałem – Ranya poszła po raz pierwszy na miejski targ, gdzie nauczyła się kupować przewody, metalowe części, materiały i substancje służące później do produkcji bomb, które własnoręcznie składała.

– Robimy to dla chwały Boga. To nasz obowiązek, nasza powinność jako dobrych muzułmanów. Dżihad to nasza droga i święte przeznaczenie. Nigdy o tym nie zapominaj, siostrze.

Nigdy nie zapomni.

W ten gorący poranek jednego z ostatnich sierpniowych dni Ranya, ze wzrokiem wciąż utkwionym w lustrze, rozmyślała o tym, że brat byłby z niej dumny. I to jej wystarczyło. Umrzeć, zabijając – to przywilej, dzięki któremu będzie się czuła wyróżniona, wyjątkowa i w pewien sposób lepsza od pozostałych znanych jej kobiet, którym nie dane jest prawo wyboru własnej drogi życiowej. I dlatego uśmiechała się na widok samej siebie tkwiącej w śmiertelnym uścisku kilku kilogramów materiałów wybuchowych.

Sara obserwowała uśmiech na twarzy Ranyi z drugiego końca brudnego pokoju zamienionego w przedsionek piekła. Widok tego grymasu mroził jej krew w żyłach. Nie potrafiła

policzyć, od jak dawna jest w tym miejscu, ale na pewno był to czas zbyt długi. Wydawało jej się, że głowa unosi się w powietrzu o jakieś trzy metry nad nią, ciało zaś – ciężkie, sztywne, niemrawe – służy za kotwicę, wypełniając trudne zadanie: utrzymując ją na uwięzi w tym porcie śmierci.

Całkiem inaczej niż Ranya, Sara uciekała wzrokiem od lustra wiszącego na jednym ze skrzydeł drzwi wielkiej, zniszczonej szafy, która zajmowała niemal pół pokoju. Resztę umeblowania stanowiło małe łóżko przykryte szmatą, która zastępowała narzutę, oraz zniszczony i kulawy stolik. Nie chciała patrzeć na swój brzuch z dziesięcioma kilogramami materiałów wybuchowych, którymi opasana była w talii.

Dzień zaczął się dla niej zbyt wcześnie, co stanowiło jakby złowieszczy znak, że i jego koniec nadejdzie wcześniej, niż można było przewidywać. Nie spała przez całą noc, tuląc w ramionach swojego syna, którego odebrano jej wraz z nadejściem pierwszych promieni słońca. Towarzyszyli jej mężczyzna i kobieta, których nie widziała nigdy przedtem, aż do poprzedniego wieczoru. Zjawiała się w tym pokoju dużo wcześniej niż Ranya, przebywająca przez ostatnie dni w meczecie. Odmawiała tam modlitwy pod okiem imama i kilku duchownych, którzy kierowali ostatnimi siedmioma dniami jej życia, wypełniając je maratonem modlitw. Sarze postanowiono zaoszczędzić wizyty w meczecie, bo ktoś widać uznał, że nie miałyby to sensu.

Tak jakby chodziło o udział w jakimś rytuale, mężczyzna i kobieta, nie mówiąc ani słowa i nie patrząc ani razu w oczy Sary, zdjęli z jej nóg buty, a potem uwolnili ją od niebieskawej, zakurzonej burki¹, którą miała na sobie mniej więcej od tygodnia. Posadzili ją na łóżku i kazali wypić jeszcze jedną filiżankę tajemniczego, słodkawego płynu. Wreszcie zmusili ją, by wstała i uniosła w górę ramiona, po czym założyli jej przez głowę pas z materiałami wybuchowymi. Kiedy zajęci

byli jeszcze mocowaniem go na ciele Sary, do pokoju weszła trzecia osoba. Tak, tego mężczyznę znała. Spojrzał na nią jak rzeźbiarz oceniający wielkie dzieło swego życia i uśmiechnął się. Widać było, że jest zadowolony. Był, naprawdę.

Nie potrafiła precyzyjnie określić godziny, ale podejrzewała, że za chwilę wyjdą z pokoju. Ubrane w przyodziewek samobójczyń, obie wysłuchały jeszcze ostatnich wskazówek na temat detonatorów, które miały przy sobie i w które wyposażeni byli także ich towarzysze, pełniący zarazem funkcję naocznych świadków i personelu pomocniczego przy akcji terrorystycznej – na wypadek gdyby któraś z kobiet osłabła w samobójczym zapale i nagle zechciała porzucić misję. To oni właśnie mieliby wówczas zdetonować za pomocą telefonów komórkowych bomby, które Sarze i Ranyi przymocowano do ciał. W przypadku tej ostatniej nawet myśl o takiej sytuacji nie wchodziła w grę: Ranya w ekstazie sprawdzała czarny detonator z okrągłym, czerwonym przyciskiem zainstalowanym na jednej ze ścianek. Nie zaprzatając swej uwagi jakimikolwiek wątpliwościami, wyobrażała sobie chwilę, w której jej kciuk wreszcie wciśnie ten guzik. „Jak wygodnie! Nawet nie będę musiała łączyć żadnych kabli”. Na twarzy dziewczyny widać było uniesienie. Nie potrafiła ukryć niecierpliwości: chciała, żeby to się już zaczęło. Wydawało się, że z małych, czarnych oczu sypią się jasne iskry, a twarz – wyglądająca dobrotliwie i niewinnie – promieniała ciekawością, jakby dziewczyna miała za chwilę otworzyć paczkę z prezentem urodzinowym. I po trosze tak było. Właśnie tego dnia przypadała trzecia rocznica śmierci jej starszego brata: trzy lata, przez które jej własna śmierć nabierała kształtu. Nie mogło być lepszej daty, żeby pomścić zamordowanie bliskich.

Sara obserwowała tę scenę w napięciu. Wolno przełknęła ślinę, mając wrażenie, że w jej gardle tkwi jakiś węzeł, który utrudnia przepływ powietrza. Uśmiech Ranyi nie pasował do

całego obrazu. Sara dobrze znała motywy tamtej dziewczyny, ale nie widziała wcześniej tego wyrazu dziecięcego szczęścia, który przed kilkoma sekundami zagościł na jej obliczu.

– Nie daj się oszukać mojej dziecinnej twarzy – powiedziała Ranya, napotykać w lustrze wzrok Sary. – Serce mam z kamienia.

Sara uparła się, by po raz kolejny zmierzyć się z tym samym murem zatwardziałego fanatyzmu.

– Dlaczego to robisz? – zapytała.

– Bo nie może tego zrobić byle kto – odpowiedziała tamta z ufnością i wyuczoną pewnością siebie. Popatrzyła na rozmówczynię i zmarszczyła brwi, nie umiejąc ukryć rozczarowania.

– Nie zaczniesz żałować, co? – spytała tonem osoby, która nie chce uwierzyć we własne obawy.

Ośmieliła ją kompletna ignorancja we wszystkim, co dotyczyło Sary, której Ranya nie widziała nigdy przedtem. Nie wiedziała, co robi w tym pokoju ani z jakiego powodu właśnie ona towarzyszy jej w ostatnich chwilach życia. Wyobrażała sobie, że musi to być kolejna spośród zastępów męczennic i męczenników pragnących wysadzić się w powietrze, by uczynić zadość pragnieniu zemsty i sprawiedliwości – jeszcze jedna bohaterka poświęcająca życie dla sprawy, tak jak i ona sama.

– Spójrz na nas. Cały świat dowie się o tym, co zrobiłyśmy, i będzie z nas dumny. To nasz obowiązek. Nasze przeznaczenie zostało już zapisane.

Nie, Sara nie zaczynała żałować. Nigdy nie myślała, że zostanie uwięziona w tych czterech ścianach ani owinięta śmiertelnym całunem. Jej własny świat miał całkiem inne wymiary, obowiązywały w nim zupełnie inne powinności. Znalazła się w tym miejscu za sprawą przekleństwa losu, sprowadziło ją tu przeznaczenie pisane komu innemu, złe

fatum i nienawiść. Chciała uciekać, krzyczeć, prosić o pomoc, otoczyć ramionami swoich bliskich – ale nie mogła. Na tym polegała pokuta, którą narzucono jej pod przymusem za pomocą oszustw. Jeśli nikt ani nic w porę tego nie powstrzyma – a nie potrafiła sobie wyobrazić, jak miałyby do tego dojść – zrealizuje do końca makabryczny plan. Teraz nie wierzyła już w cuda.

Choć Sara wypowiedziała swe pytanie najcichszym głosem, jaki potrafiła wydobyć z krtani, doskonały słuch Nahiba znów dał znać o sobie. Ten dar można było porównać chyba tylko z biegłością w posługiwaniu się materiałami wybuchowymi oraz mistrzostwem we władaniu najważniejszą bronią, jaką życie dało mu do ręki: zdolnością uwodzenia. Sara wyczuwała jego obecność tuż za sobą. Od pewnego czasu bliskość tego mężczyzny przestała już oszukiwać jej zmysły; spychała ją natomiast w najczarniejszą, najgłębszą otchłań ludzkiego strachu.

– Kochana Saro, czasami nasza śmierć oznacza życie dla innych.

Lekko zachrypnięty głos nadal brzmiał uwodzicielsko, ale dla niej był to już tylko głos pozbawionego skrupułów potwora. Szepcząc do niej, podsunął jej przed oczy fotografię, która wprawiła Sarę w drżenie: zdjęcie przedstawiało czarnowłosego chłopca z dołeczkami w pucołowatych policzkach, wykrzywionego w niewinnym uśmiechu ukazującym szparę między przednimi zębami.

Zanim zdążyła się odsunąć, Nahib pocałował ją w usta. Gorzki smak przykrył słodycz herbaty, którą piła wcześniej. Nie miała odwagi się poruszyć. Nawet tego nie była w stanie zrobić.

Słyszac ostry dźwięk telefonu komórkowego, znów zaczęła oddychać. Przez chwilę bała się, że oto bez żadnego ostrzeżenia dokonuje się finał całego koszmaru. Rozejrzała

się wokół, jakby chciała stwierdzić, czy oba pasy z materiałami wybuchowymi są nadal tam gdzie poprzednio i czy nie eksplodowały. Nie wiedziała, czy ma się cieszyć, kiedy dotarło do niej, że tak jest. Tymczasem zakryto jej twarz czarnym nikabem², w którym była jedynie wąska szpara pozwalająca na posługiwanie się zmysłem wzroku. Tylko więc przepętnione strachem oczy pozostały odkryte. Do jednej kieszeni opadającej do ziemi tuniki ktoś włożył egzemplarz Koranu, do drugiej paszport. Jej własny, ten, którego tak dawno już nie widziała.

– Z upojenia śmiercią wykwita prawda – usłyszała głos Nahiba.

Nadeszła pora.

Na ulicach panował tłok. Była sobota, pogoda od dłuższego czasu dopisywała. Zwabieni nią ludzie wychodzili z domów, by cieszyć się pięknym dniem. Właśnie teraz, wczesnie rano, był na to czas, bo w miarę upływu przedpołudniowych godzin słońce zacznie prażyć zbyt intensywnie. Po obu stronach ulicy dzieci, kobiety, mężczyźni i całe rodziny tłoczyły się wokół zaimprovizowanych, przenośnych straganów zajmujących dużą część jezdnii i utrudniających przepływ ludzi i samochodów, których o tej porze było już dużo.

Pod wpływem gorąca ciało Sary zaczęło spływać strumieniami potu, których jedynym ujściem były niewielkie szpary odsłaniające jej oczy. Ktoś, kto nie wiedział, co kryje się pod obszerną tuniką, mógłby pomyśleć, że kobieta płacze rzewnymi łzami. Sara była zadowolona, że nie posłuchała rady, której udzieliła jej Ranya, kiedy tylko zobaczyła ją z samego rana:

– Umaluj się, nałóż cienie na powieki, pomaluj rzęsy, użyj węgla do oczu. Niech widzą, że jesteś zadbana, ładna, niech patrzą na twoją twarz, a nie na ciało. W ten sposób nikt cię nie będzie podejrzewał, nawet jeśli natkniesz się na policję.

Gdyby tak zrobiła, jej twarz wyglądałaby teraz jak płótno bezładnie upstrzone czarnymi plamami – żywy obraz zombie. Rozumiała już, dlaczego założono jej nikab, podczas gdy jej współtowarzyszka w ofierze miała na sobie abaję³ uszytą z dwóch kawałków materiału, odsłaniającą całą twarz dziewczyny. Idealnie umalowana Ranya lśniła urodą. Uśmiechała się, nic jej nie przerażało. Gdyby i Sara miała odkrytą twarz, jej strach na pewno rzucałby się w oczy. Wszystko zostało dokładnie przemyślane.

Czuła, że za chwilę wybuchnie jej serce, zadławione przez napięcie i nerwy. Musiała jednak przetrwać jeszcze kilka minut, przejść dodatkowe kilkadziesiąt metrów – zanim nastąpi wielka eksplozja. Pas z materiałami wybuchowymi uciskał ją, miała wrażenie, że przeszkadza jej w oddychaniu, choć brak tchu brał się w głównej mierze z wewnętrznego napięcia. Momentami czuła swędzenie, drobne ukłucia, a chwilami – mogłaby przysiąc – lekkie wstrząsy elektryczne.

– Nie dotykaj tego, ktoś mógłby coś zauważyć. Albo jeszcze gorzej: mogliby nas wysadzić w powietrze przed czasem.

Polecenie dobiegło zza jej pleców. Nie odwracając się – bardziej ze strachu niż z fizycznej niemożności – postanowiła odpowiedzieć, zanim cień, który do niej mówił, zniknie.

– Muszę iść do toalety. Nie wytrzymam. Źle się czuję.

Ktoś chwycił ją mocno za łokieć i potrząsnął nią, ale niemal nie ruszając jej z miejsca. Był to mężczyzna odpowiedzialny za jej pilnowanie. To on miał przy sobie telefon komórkowy, za pomocą którego mógł – w przypadku jakichkolwiek wątpliwości – zdetonować ładunek wybuchowy.

– A tobie się wydaje, że kim jesteś? Turystką?

Nigdy nie przypuszczała, że ludzkie spojrzenie może rozjarzyć się aż taką nienawiścią, ale teraz widziała to i czuła o milimetry od swojej twarzy.

– Zrób tutaj. Nikt nie zauważy.

Wystarczyło rzucić okiem wokół siebie, żeby się przekonać, że to prawda: nikt na nią nie patrzył, nie przyglądała się jej ani jedna osoba. Tak jak ją poinstruowano, zamieniła się w niewidzialny kształt niebudzący żadnych podejrzeń, ruchome widmo nieprzyciągające niczyich spojrzeń. Mimo ograniczonego pola widzenia, sprowadzonego do ośmiocentymetrowego rozcięcia w płótnie nikabu, zdołała dostrzec, że ulica, którą poprzednio szli, właśnie zmieniała się w nieco rozleglejszy plac. Nie widziała nikogo znajomego. Żaden z cieni, które jej towarzyszyły od chwili, kiedy wyszli z mieszkania, nie znajdował się w obszarze, który z takim wysiłkiem obejmował jej wzrok. Tylko Ranya pojawiła się obok niej, ledwo musnęła ją ramieniem i obdarowała uśmiechem, który Sarze wydał się lodowaty.

– Spotkamy się w niebie. Niech Allah będzie z tobą.

Sara patrzyła w wielkim napięciu na oddalającą się sylwetkę Ranyi, która wyglądała jak zjawa wtapiająca się w tłum, pozbawiona duszy i niezainteresowana światem zewnętrznym. Przepływała pośród ludzkiej ciżby, straganów z odzieżą mieniących się jaskrawymi kolorami materiałów, pośród kiosków z jedzeniem, ze starymi sprzętami kuchennymi, z używanymi artykułami gospodarstwa domowego, pośród samochodów poruszających się mniej więcej w tym samym tempie co ona, pośród krzyków i intensywnego zapachu przypraw.

Po kilku sekundach Ranya znikła jej z oczu, jakby wessała ją rozpościerająca się wokół żywa mozaika. I wtedy Sarę owładnął strach, jakiego wcześniej nie znała. Całe jej ciało zostało jednocześnie wprawione w ruch jak idealnie zestrojona i zsynchronizowana maszyna: wędrujący po mostku ból pozbawiał ją tchu, słyszała ostre i ogłuszające echo serca kołającego w piersi z takim impetem, jakby chciało się z niej wyrwać; wstrząsały nią dreszcze, czuła przeszywający

ból w skroniach, a jej żołądek wirował. Próbowwała jakoś stłumić te odruchy.

Chciała biec – ale dokąd? W którą stronę? Gdzie mogłaby uciec? Wszystkie te pytania znikły, gdy uświadomiła sobie, co dzieje się z jej prawą dłonią. Była zwinięta w pięść, z palcami kurczowo zaciśniętymi na... Na czym? Rozwarła dłoń i ujrzała spoczywający na niej detonator. Bez zastanowienia odrzuciła go daleko od siebie. Jednocześnie obróciła się wokół własnej osi i zaczęła cofać po swych własnych śladach. Teraz już czuła się śledzona i pilnowana przez armię stu tysięcy oczu. Chciała odejść jak najdalej od miejsca, w którym się znajdowała, ale uniemożliwiał jej to strach, że ktoś może zdetonować pas z materiałami wybuchowymi za pomocą telefonu. W każdej chwili mogła wylecieć w powietrze, rozerwana na tysiąc kawałków – i wtedy wszystko się skończy. Nie była na to gotowa. Nie była w stanie udźwignąć tej myśli. Nie miała nawet odwagi pomyśleć o swoim synu i o tym, co go czeka, jeśli Sara oprze się swemu przeznaczeniu. Nagle usłyszała przenikliwy krzyk, który przebił się przez zgiełk unoszący się nad placem.

– *Allah akbar! Allah akbar!*

To Ranya sławiła pod niebiosą wielkość Allaha. Sarze udało się ją dostrzec przez ułamek sekundy, przez ulotny moment, w którym ludzie znajdujący się w pobliżu Ranyi zdążyli jeszcze odrobinę się cofnąć, w nadziei że zdołają się od niej oddalić. Ta nadzieja żyła jeszcze przez chwilę: widać było, że dziewczyna raz po raz naciska bezskutecznie guzik detonatora. Ale to nie mogło się tak skończyć. Wszelka nadzieja przestała istnieć – dla wszystkich oprócz młodej samobójczyni.

Silna eksplozja wstrząsnęła ziemią i rozdarła niebo. Linia graniczna między nimi została zatarta, wymazana. Ziemią zawładnęła pustka, świat rozpadł się, zamieniając w deszcz

kamieni, ognia, odłamków, krwi i fragmentów ciała. Zapano-
wało królestwo nicości. Nic już nie istniało. Zmysły przesta-
ły działać, nie dawało się niczego zobaczyć, usłyszeć... Ktoś
wcisnął guzik i świat się skończył.

Cisza. Absolutna cisza. Wszystko zatoneło w czarnej
ciszy.

Powoli skądś zaczęły dobiegać słabe odgłosy gwizdków,
nieśmiałe, odległe okrzyki, ledwo słyszalne jęki bólu stop-
niowo zmieniające się w przerażające krzyki, które oznaj-
miały śmierć, krew, desperację i najstraszliwszą rozpacz.
To co początkowo było chórem bezdźwięcznych głosów,
zmieniało się w potężniejący ryk wzywający pomocy. Byli
tam ludzie i chcieli, żeby ich dostrzeżono.

Oślepiające światło, włączone jakby za pomocą niewi-
docznego przycisku, zalało powieki Sary i zmusiło ją, by
otworzyła powoli oczy. Wciąż pozostawała jakby uśpiona,
na wpół tylko przytomna. Do jej uszu dobiegały rozmaite
dźwięki nowo narodzonego wszechświata: daleki odgłos sy-
reny przybliżający się stopniowo, pochłaniający po trochu
dystans dzielący go od tego miejsca grozy; alarmy samocho-
dowe uruchomione siłą wybuchu, jakby dumne z tego, że
nie dało im rady piekło, które rozpętało się przed kilkoma
sekundami; krzyki i lamenty mężczyzn, okaleczonych ma-
tek poszukujących dzieci, płacz dzieci pokrytych sadzą. Jedni
podnosili się z ziemi i rozglądali wokół, nic nie widząc. Dru-
dzy widzieli, choć nie chcieli patrzeć. Niektórzy obejmowali
się, inni krążyli w kółko, jeszcze inni podnosili się i znów
padali.

Próbowała powoli usiąść, ale jej ciało nie reagowało na
polecenia. Stopniowo docierało do niej, że wciąż ma na sobie
pas z materiałami wybuchowymi. Dotknęła go. Była na wpół
naga, bo siła wybuchu zerwała z niej część ubrania: zniknęła

nikab, a piersi Sary były obnażone. Ludzie stojący blisko niej zaczęli już krzyczeć, wskazywać ją rękami, kreślić w powietrzu koło, w którym chcieli ją zamknąć, w którym można by ją zostawić, żeby nie zagrażała innym. Znowu chaos, znowu ogłuszające wrzaski. Opuściły ją siły. Ciało Sary ponownie osunęło się na ziemię. Czuła, jak podstępna fala gorąca pozbawia ją wzroku i odbiera jej oddech. Z wolna popadała w omdlenie, w inną rzeczywistość – wciąż jeszcze w niej żyjącą i wynurzającą się teraz, jakby za sprawą czarów, spod pokładów przedwczesnego zapomnienia. Rzeczywistość, w której wydarzenia mogły przecież potoczyć się inaczej... Chciała nabrać dystansu, uczepić się jakiegoś wspomnienia, przypomnieć sobie dokładnie moment, w którym ten koszmarny sen, wypełniony ogniem i krzykami, zaczął nabierać realnego kształtu. Od czego zaczął się ten ogłuszający zgiełk, który teraz pozbawiał ją zmysłów i usuwał poza nawias ludzkiej społeczności?

Miała wrażenie, że ognista kula spala ją od środka i zamiera na jej wargach.

Osiemnaście miesięcy wcześniej...

CZĘŚĆ PIERWSZA

Nikt z nas nie żyje dla siebie i nikt nie umiera dla siebie...

Święty Paweł, *List do Rzymian*

1

Pierwszy łyk kawy sparzył jej wargi. Za gorąca, zawsze to samo. Pośpiech nie był najlepszym sojusznikiem, szczególnie tak wcześnie rano. Przełykając dwa owsiane ciasteczka, Sara nasypała trochę płatków do ulubionej miseczki syna i wyjęła z tosterka grzanki, które, jak wiedziała, ojciec spryska później szczodrze oliwą i posypie szczyptą cukru. Zostało jej akurat tyle czasu, żeby dokończyć makijaż, ubrać się, wbić w buty na obcasach i sprawdzić, czy w teczce nie brakuje żadnego folderu, którego będzie potrzebowała w pracy. Dziś zaczynała wcześniej niż zwykle z powodu zebrania całego grona profesorskiego w związku z początkiem sesji egzaminacyjnej. Spojrzała na zegarek i nie odrywając wzroku od ekranu małego telewizora stojącego w kuchni, weszła do korytarza, który każdego ranka przekształcał się w sprawnie działający pas napędowy. Sara wydała z siebie pierwszy tego dnia poranny okrzyk wojenny.

– Iván, kochanie, pospiesz się! Spóźnimy się, a wiesz, że tego nie lubię.

Kolejny łyk kawy – tym razem już chłodniejszej dzięki kapce zimnego mleka, którą właśnie dołała – pomógł jej przetrwać informacje, które towarzyszyły dramatycznym obrazom prezentowanym w wiadomościach.

...potrójny zamach samobójczy wstrząsnął dziś bagdadzką dzielnicą Karrada. Był to kolejny z długiej listy ataków dokonywanych przez kobiety występujące w roli kamikadze. Ze względu na trudność, jaką sprawia zrozumienie osób decydujących

się na poświęcenie własnego życia w celu zabicia innych ludzi, eksperci zajmujący się terroryzmem islamskim rozważają wiele różnych hipotez mających wyjaśnić nasilenie się tego zjawiska. A tymczasem wróćmy do naszego kraju: funkcjonariusze policji narodowej zatrzymali dziś nad ranem w Bilbao trzynaście osób narodowości algierskiej i jednego Irakijczyka, oskarżanych o przynależność do zorganizowanej grupy przestępczej działającej w prowincji Vizcaya⁴. Uważa się, że część swoich zasobów finansowych grupa mogła przeznaczać na finansowanie działalności terrorystycznej prowadzonej przez Al-Kaidę na terytorium Algierii. Policja twierdzi, że dysponuje wystarczającymi dowodami, by...

– Nie ustana, aż nas wszystkich wykończą. – Słyszac po nury głos ojca, Sara odwróciła się w jego stronę. – O to przecież im chodzi.

– Tato! – upomniała go takim samym tonem, jakim zwracała się do swego siedmioletniego synka, kiedy – podejmując daremną próbę wymigania się od szkoły – udawał, że nie słyszy wezwań do wygrzebania się z łóżka.

– Dla tych bezmózgowców istnieje tylko jedna droga: bomby. I wciąż są tacy, którzy marzą o odzyskaniu Andaluzji z rąk chrześcijańskich, tak jakby od zajęcia Granady nie minęło ponad pięć wieków, tylko pięć dni. Jezu! Mogliby przynajmniej śnić o przywróceniu emiratu Granady za pomocą szabel i bułatów, tak jak to robili dawniej. Nie wiem, czy materiały wybuchowe mają w sobie coś świętego.

– Nie mów takich rzeczy. A szczególnie przy Ivánie.

Chłopiec nie zwracał uwagi na rozmowę dorosłych; połykał płatki, bawiąc się jednocześnie kolejką, którą dostał w prezencie od dziadka i której od dwóch dni nie wypuszczał z rąk. Sara ściszyła głos:

– Wiesz przecież, że w tym wieku są jak papugi, wszystko powtarzają. Nie mam ochoty chodzić do szkoły i tłumaczyć

dyrektorce, że mój syn ma dziadka, który dla rozrywki obwieszcza koniec świata.

– Tęgo świata, który znamy, córeczko. Kiedy już ci wszyscy fanatycy powyrzucają nas z domów – ciągnął, wskazując na obrazy ukazujące się w telewizyjnych wiadomościach – przypomnisz sobie słowa ojca. I to szczególnie ty, która z nimi pracujesz i uczysz ich, po to żeby łatwiej im było nami rządzić w naszym własnym języku.

– Nie mieszaj do tego moich uczniów. Z wiekiem robi się z ciebie straszna zrzęda.

– Mówię tylko...

– Nie, tato, już nic nie mów. To porządne chłopaki, a ty przecież jesteś pierwszy do powtarzania, że nie należy wierzyć we wszystko, co pokazują w telewizji.

– Może i porządne, nie twierdzę, że nie – odpowiedział trochę cichszym głosem. – Mówię tylko, że między tymi wszystkimi porządnymi czy normalnymi chłopakami jest też spora grupa ludzi okrutnych, z imperialnymi ciągotami i jak najgorszymi intencjami.

– No dobrze, ale tych bym nie przyjęła do swojej klasy – powiedziała Sara z uśmiechem.

– Możesz się śmiać, córciu, ale terroryści na ogół nie zadowolają się petardami. Niedługo wypowiedzą nam wojnę w naszym własnym domu. Ja już tego oczywiście nie zobaczę.

– Nie mów tak, tato...

Kilka lat wcześniej z powodu niefortunnego uszkodzenia kręgosłupa Mario musiał się poddać skomplikowanej, siedmiodzinnej operacji. Zabieg uchronił go przed spędzeniem reszty życia na wózku inwalidzkim, ale musiał porzucić katedrę na Wydziale Geografii i Historii na madryckim Uniwersytecie Complutense. Od tego czasu ojciec Sary lubił odgrywać schorowanego starca, choć wcale nim jeszcze nie

był. Miał sześćdziesiąt lat, za sobą przeszłość pełną akademickich sukcesów. Nauczanie pomogło mu złagodzić dojmujący ból i straszliwą pustkę, które zapanowały w jego życiu osiem lat wcześniej, kiedy jego żona zginęła w wypadku samochodowym. Wiadomość o nagłej śmierci matki Sary, u boku której zamierzał spędzić resztę swoich dni, sprawiła, że się pogubił, stracił cel w życiu, w którym nic już nie miało sensu, nic poza jego zbuntowaną, nastoletnią córką – teraz zresztą, w obliczu nagłej utraty matki, zbuntowaną, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej niż przedtem.

Kilka miesięcy po śmierci żony Maria córka przyszła do domu z wiadomością, że jest w ciąży – nieplanowanej i niechcianej. Sara, mająca za sobą szesnaście lat życia oraz przyspieszony kurs dojrzewania – nie wiadomo przez kogo zorganizowany – usadowiła się przed ojcem i zrobiła mu wykład objaśniający nową sytuację: „Tato, w tej rodzinie nikogo już nie możemy utracić. To dar od Boga i dowód na to, że mama wciąż w jakiś sposób jest z nami. Myślę, że warto spróbować”. Być może przyjął to jako pewną formę pociechy, sygnał, by iść dalej, choć życie wydawało mu się już tylko staczaniem się z górki; a może spodobało mu się zdecydowanie córki – w każdym razie Mario podjął rzuconą przez nią rękawicę i od pierwszego dnia ciąży zaangażował się w sprawę jej szczęśliwego zakończenia. Kiedy urodził się Iván, Mario przestał widzieć na świecie cokolwiek poza nim. Czuł się szczęśliwy i bezpieczny wewnątrz swej małej rodziny. Nie miałby już siły, by znieść utratę kogokolwiek. Może z tego właśnie powodu ciągle i nieuzasadnione odniesienia do jego wieku stały się między nimi rodzajem gry, niegroźnego przekomarzania się, a jednocześnie ochronną tarczą i zakłębieniem, mającym zapewnić mu długie życie.

Sara podeszła do ojca, objęła go, oparła głowę na jego piersi, a potem ucałowała. Uwielbiała go obejmować, czuć

bicie jego serca i znajdować w nim ucieczkę od wszystkiego – tak jakby wciąż była małą dziewczynką. Ten człowiek poświęcił życie, by się nią opiekować, a teraz nadszedł czas, żeby mu okazać, jak bardzo jest za to wdzięczna i jak bardzo go kocha. Zrobiłaby dla niego wszystko.

– Twój stary ojciec...

– Oj, tatusiu! – zaprotestowała Sara, udając złość, której nie czuła: w gruncie rzeczy uwielbiała ojca, nawet kiedy mu się sprzeciwiała. Chwilę później spojrzała kątem oka na zegar.

– Ależ się zrobiło późno! Nie wiem, co robić. Mamy dziś egzaminy i nie mogę przyjść później niż uczniowie. Odwieszysz Ivána do szkoły? – spytała, nie czekając na odpowiedź, którą zawczasu znała. – Obiecuję, że wieczorem pogadamy o świętej wojnie, rekonkwiescencji i wszelkich makiawelicznych spiskach, o których tylko będziesz chciał rozmawiać.

Ucałowała go w czoło, uściskała mocno Ivána i wybiegła z domu, dokonując prawdziwej ekwilibrystyki, żeby zachować równowagę na wysokich obcasach.

Była bardzo zadowolona z pracy w szkole językowej. Nigdy nie chciało jej się studiować, nie dlatego że brakowało jej zdolności do nauki, ale dlatego że książki i programy nauczania nie pasowały do jej niespokojnego usposobienia. Od małego miała wielki talent do języków. Jego rozwijaniem zajmowała się matka Sary, pół Włoszka, pół Francuzka, której zależało na tym, aby dziecko od najmłodszych lat znało języki ojczyste swych dziadków. Poza hiszpańskim Sara władała angielskim, francuskim, włoskim i niemieckim.

Od razu kiedy wpadło jej w oczy ogłoszenie o poszukiwaniu wykwalifikowanego nauczyciela na stanowisko wykładowcy w szkole językowej w centrum Madrytu, poczuła, że to coś dla niej. Intuicja jej nie zawiodła: dyrektorze szkoły, doñi Mardze, wystarczył jeden rzut oka na CV Sary, by stwierdzić, że dziewczyna idealnie odpowiada wymaganiom szkoły.

– Nie masz pojęcia, jak nam to pasuje. W szkole wciąż przybywa uczniów-muzułmanów, którzy przychodzą, żeby się nauczyć hiszpańskiego albo go podszlifować. Dzięki temu łatwiej im się integrować i radzić sobie w codziennym życiu. No wiesz: odczytywać ogłoszenia, szyldy na sklepach. No i znaleźć pracę, oczywiście. Ich dzieciom jest łatwiej, bo młodzi się błyskawicznie przystosowują, ale dla rodziców to większy wysiłek. Mogę cię jednak zapewnić, że trafiają tu najbardziej sumienni. Uczą się szybko, a ty ze swoimi pięcioma językami i – jak będzie trzeba – odrobiną mimiki na pewno zdołasz ich zrozumieć.

W okresie próbnym Sara zaczęła od zastępstw i funkcji wykładowcy pomocniczego, ale po kilku tygodniach miała już stały etat i tytuł profesora, co zobowiązywało ją do zajmowania się kilkoma grupami i różnymi poziomami nauczania. Przychodziła do szkoły we wszystkie popołudnia od poniedziałku do czwartku oraz w co drugi piątek. Grupy zostały zmniejszone, co ułatwiało bardziej bezpośrednie i osobiste podejście do uczniów. Bez wątplenia pomagało to w nauce. W sali, w której Sara prowadziła zajęcia, gromadzili się przede wszystkim młodzi mężczyźni różnych narodowości w wieku od dwudziestu do czterdziestu pięciu lat; z kolei kobiety i osoby starsze wybierały najczęściej zajęcia poranne. Sara lubiła nawiązywać kontakty z uczniami, uwielbiała wdawać się z nimi w dyskusje, rozwiewać ich wątpliwości, słuchać propozycji, poznawać ich punkt widzenia, rozwiązywać problemy... Pomagała im nawet wypełniać różne oficjalne formularze, których nie udawało im się zrozumieć nawet ze słownikiem w ręku.

– Nie przejmuj się, nawet my, Hiszpanie, ich nie rozumiemy, chociaż po hiszpańsku mówimy dobrze! – pocieszała, widząc zakłopotanie któregoś z uczniów, borykających się z jakimś biurokratycznym łamańcem.

Dzięki swej otwartości i ciekawości świata Sara wykazywała naturalne zainteresowanie życiem uczniów i ich sytuacją, ale dyrekcja centrum nie pozostawiała w tej sprawie wątpliwości – a już z pewnością w odniesieniu do nowej, młodej i niezaprzeczalnie atrakcyjnej profesorki. Jej napominaniem zajęła się zarówno dyrektorka szkoły, jak i większość ciała profesorskiego – szczególnie Pedro, dobrotliwy gaduła w średnim wieku rodem z Galicji⁵, mający za sobą długie lata nauczania i od pierwszych chwil wyraźnie sympatyzujący z Sarą.

– Nie wtrącaj się zanadto w sprawy, które należą do sfery osobistej uczniów. Nie będą cię za to bardziej szanować. Nie trzeba mieszać różnych porządków – Pedro formułował te zalecenia w czasie którejś popołudniowej przerwy na kawę i ciasteczka, które Sara przynosiła każdego dnia, aby umilić kolegom chwile odpoczynku. – Widzą, że jesteś młoda, ładna i sympatyczna, no i niektórym może się coś pomylić. Muszą wiedzieć, gdzie jest granica, żeby uniknąć sytuacji dla wszystkich niezręcznych. A niechby się jeszcze dowiedzieli, że przynosisz codziennie takie pyszności! – ciągnął Pedro, pogryzając kolejne ciastko oblane czekoladą i posypane wiórkami migdałów. – Nie umiałabyś ich poskromić, a ja też nie wiedziałbym, jak sobie radzić z taką sytuacją. Byłoby to naprawdę niezręczne.

– Pedro, ależ ty lubisz przesadzać! Przypominasz mojego ojca – skomentowała Sara z czułością.

– Dziecino, a to mi przywaliłaś! Mam co prawda wystarczająco dużo lat, ale nie jestem twoim ojcem. Chociaż nie mam nic przeciwko temu, żeby się zachowywać tak, jakbym nim był, ilekroć to będzie potrzebne.

Pedro wiedział, o czym mówi. Kilka lat wcześniej został wpłątany w skandal delikatnej natury związany z jedną ze studentek przychodzących na jego zajęcia. Pewnego

popołudnia, pod pretekstem konsultacji w klasie i korzystając z faktu, że w piątki w szkole było mniej uczniów i wykładowców niż w inne dni, dziewczyna wyznała mu otwarcie, że się w nim zakochała. Zaczęła mu się tak intensywnie narzucać, że w końcu nie miał innego wyjścia, jak kazać jej wyjść z ośrodka. Po kilku dniach w szkole pojawił się ojciec dziewczyny w towarzystwie licznej i uzbrojonej po zęby reprezentacji rodzinnej. Zażądał wyjaśnień: dlaczego Pedro próbował przekroczyć dopuszczalne granice z „jego dziewczynką”? Szczęśliwie dla Pedra zarówno dyrekcja ośrodka, jak i reszta uczniów dała wiarę wersji wydarzeń i wszyscy od pierwszej chwili stanęli po jego stronie. Choć nie zostało złożone doniesienie na policję – które zresztą byłoby bardziej kłopotliwe dla rodziny uczennicy niż dla obwinionego – Pedro przeżył trudny okres, w którym jakiegokolwiek spojrzenie, gest czy plotka mogło znów rzucić na niego cień podejrzeń. Od tej pory odnosił się do uczniów z większą rezerwą, wyeliminował z relacji z nimi wszelkie ślady koleżeństwa i ograniczył dawkę roztaczanego uroku, który poprzednio był jego znakiem firmowym. Od tamtego dnia nie pozwalał, żeby drzwi jego klasy były kiedykolwiek zamknięte, choć było to niewygodne ze względu na dobiegające z zewnątrz hałasy. Pedro nie miał już ochoty kusić losu.

Sara obiecała, że zastosuje się bez reszty do jego rad, choć jej charakter ekstrawertyczki wcale tego nie ułatwiał. Uważała, że poszczęściło jej się z uczniami, którzy byli niezbyt liczni i dobrze dobrani. Wydawali się ludźmi odpowiedzialnymi i przychodzili na zajęcia, mając wielką ochotę na naukę, a nie na tracenie czasu. Większość z nich miała pracę, w której byli zajęci prawie przez cały dzień, i dlatego najpóźniejsze zajęcia popołudniowe należały do najbardziej obleganych. W tej właśnie grupie było czterech mężczyzn narodowości chińskiej – którzy zawsze siadali w pierwszym

rzędzie i skoncentrowani notowali w zeszytach wszystko, co Sara pisała na tablicy – poza tym sześciu Arabów, pochodzących w większości z Maroka i Syrii. Ci byli najbardziej dyskretni i pierwsi opuszczali klasę po zakończeniu zajęć. Ze szkoły szli do pobliskiego parku posiedzieć na ławce, gdzie wdawali się w ożywione dyskusje z innymi młodzieńcami o arabskich rysach, którzy się do nich przysiadali. Na zajęcia przychodziło też trzech Hindusów; byli ze wszystkich najbardziej wycofani. Sarze udało się o nich dowiedzieć jedynie tego, że pracowali w indyjskiej restauracji, którą kilka miesięcy wcześniej otwarto w tej samej dzielnicy. Do grupy należało też dwoje Niemców – uroczę małżeństwo w dość zaawansowanym wieku, sąsiedzi z tej samej kamienicy, w której znajdowała się szkoła. Postanowili osiedlić się w Hiszpanii, dołączając do córki, która niedawno wyszła za Hiszpana. Razem uczniów była piętnastka, a w piątki liczba ta zmniejszała się do dziesięciorga, ze względu na to, że niektórzy akurat pracowali, a inni z kolei dokądś wyjeżdżali. To grono zdecydowało się przenieść zajęcia na wcześniejszą godzinę – piątą po południu – żeby wcześniej móc korzystać z weekendowego odpoczynku.

Po raz pierwszy od dawna Sara czuła, że jej życie jest odpowiednio uporządkowane i że sprawuje nad nim kontrolę. Była dumna z tego, co udało jej się – wbrew rozmaitym przepowiedniom – osiągnąć. W wieku dwudziestu czterech lat miała syna, którego uwielbiała i który rósł zdrowo i szczęśliwie, ojca – powiernika jej zwierzeń, plany na przyszłość, pracę, która zapewniała jej nie tylko osobiste zadowolenie, ale też wygodną sytuację ekonomiczną, ładne mieszkanie należące do ojca i wolne od obciążeń hipotecznych, w którym stworzyli przytulne ognisko domowe oparte na miłości i wzajemnym szacunku.

Zajęcia w szkole językowej i opieka nad Ivánem wypełniały Sarze większą część codzienności. Z samego rana odprowadzała syna do szkoły, potem załatwiała różne sprawy, zajmowała się domem i przygotowywała popołudniowe zajęcia. Przyprawiała syna na przerwę obiadową, a potem – jeszcze ze smakiem deseru w ustach – odprowadzała go do szkoły i biegła do pracy, z której wychodziła około ósmej wieczorem. Zawsze się potem spieszyła do domu: wsiadała w pierwszy nadarżający się autobus albo wracała metrem i pędziła, żeby zdążyć ułożyć Ivána do snu, zapytać go o szkolne sprawy i ucałować na dobranoc. Ilekroć zajęcia nieco się przeciągały – na przykład ze względu na wątpliwości, jakie w ostatniej chwili zgłaszał któryś z uczniów, albo na nieoczekiwane zebranie wykładowców – zawsze z propozycją odwiezienia Sary do domu zgłaszał się Pedro, absolutnie nie przyjmując do wiadomości jej odmownych odpowiedzi.

Rodzina i praca były dwoma filarami jej życia i chwilowo nie potrzebowała niczego więcej. Niedawno zakończyła związek trwający prawie dwa lata – z młodym, dobrze wykształconym i poważnym mężczyzną, którego poznała pewnej nocy w związku z kradzieżą dokonaną w sklepie znajdującym się na parterze jej kamienicy. Jako że mieszkała tuż nad obrabowanym lokalem, policja zastukała do jej drzwi w poszukiwaniu informacji, które mogłyby rzucić nieco światła na to zdarzenie. Jednym z policjantów był Miguel. Od pierwszej chwili wywarł na Sarze silne wrażenie. Może chodziło o mundur, który skrywał umięśnione ciało, może o miedziany odcień skóry, a może o sposób wystawiania się: słowa mężczyzny wydawały się przesycone aurą opiekuńczości, w której Sara całkiem się zatraciła. Miguelowi też się spodobała młoda, bystra kobieta z twarzą otoczoną aureolą złocistych włosów, ubrana w piżamę okrywającą ładne i proporcjonalnie zbudowane ciało, które usiłowała dodatkowo zasłonić jedwabnym

szlafrokiem. Spojrzenia i nerwowe uśmiechy, które krążyły między nimi podczas przesłuchania, stawały się obietnicą czegoś więcej; w końcu Miguel zrobił kolejny krok:

– Zostawię numer telefonu, pod którym można mnie zastać, gdyby pani potrzebowała... – zaczął niepewnym głosem funkcjonariusz Miguel. – Gdyby pani sobie coś jeszcze przypomniała albo... – mówił, zapisując na kawałku papieru cyfry wyglądające bardziej na numer telefonu komórkowego niż stacjonarnego. Ten szczegół i nieśmiałe jąkanie się Miguela przyciągnęło spojrzenie drugiego policjanta z patrolu; ten ostatni, skrywając znaczący uśmiech, postanowił usunąć się z drogi i notował coś zawzięcie w swym notesie.

– ... albo coś, co chciałyby nam pani powiedzieć, wie pani... O każdej porze dnia i... nocy. No, kiedy pani będzie chciała.

– Na pewno tak zrobię. To znaczy, pewnie rano sobie przypomnę coś nowego, kiedy wszystko ułoży mi się w pamięci. – Mario też zauważył nieczęste u jego córki zacinanie się. – Wie pan, napad, strach, obecność policji... O tym mówię.

Zaczęli się spotykać. Na początku pretekstem była sprawa kradzieży, ale wkrótce – w obliczu odczuwanej przez oboje potrzeby przebywania z sobą – rozmaite kombinacje, które niezbyt zgrabnie wymyślali, żeby mieć powód do spotkania, kompletnie przestały się liczyć. Rozumieli się idealnie pod każdym względem i od początku towarzyszyło im szczęście: mogli dzielić swoje zainteresowania i żadne z nich nie musiało przy tym rezygnować na rzecz drugiego z własnej wolności ani z własnych upodobań. Oboje uwielbiali wieś, piesze wycieczki, obcowanie z przyrodą, zagłębianie się w nieznanne tereny – zawsze razem, we dwójkę. Jedynym wyjątkiem było towarzystwo Ivána – wtedy gdy zdołali już w swych relacjach obniżyć poziom romantyzmu i pożądania, które odradzało się przy każdym kolejnym spotkaniu. Ich wzajemne przenikanie się miało charakter absolutny, tak

jakby znali się przez całe życie: śmiali się razem, uczyli od siebie wzajemnie, a do pełnego zrozumienia wystarczyło im jedno spojrzenie w oczy drugiego.

Był to pierwszy poważny związek, w który Sara się zaangażowała. Jej wczesna ciąża była bowiem owocem potajemnego spotkania dwojga nastolatków, niezdarnego i zwariowanego, podyktowanego jedynie potrzebą odkrycia świata seksu. Znajomość z Miguelem od pierwszej chwili spotkała się z aprobatą ojca Sary i jej synka, który wydawał się jeszcze bardziej niż jego matka zachwycony wkroczeniem w ich życie sympatycznego faceta z policyjną odznaką, czapką i samochodem z kogutem.

Po kilku miesiącach Miguel awansował: przestał chodzić w mundurze i obwieszczać swą obecność za pomocą czerwonych i niebieskich świateł. Zmienił się w agenta służb specjalnych Miguela Fernandez, realizując marzenie, które mu towarzyszyło podczas długich i trudnych lat dotychczasowej kariery. Za sprawą tej zmiany godziny jego pracy znacznie się wydłużyły, a jednocześnie wzrosło ryzyko związane z operacjami, w których brał udział. Niepomrotnie też zwiększył się zakres jego odpowiedzialności. W konsekwencji ich spotkania stały się rzadsze. Miguel zaczął się zachowywać z większą rezerwą, nie opowiadał już Sarze anegdot z pracy i choć ich miłość nadal była żywa, jej intensywność zmalała proporcjonalnie do liczby okazji, które mieli, żeby się spotykać, dotykać, kochać. Po kilku miesiącach zaczęły im się zdarzać dni, kiedy w ogóle z sobą nie rozmawiali. On był wciąż uwikłany w jakieś tajne operacje policyjne i rów, jaki zaczął ich dzielić, stał się na tyle głęboki, że nie dawało się już go zasypać ogólnikowymi wyjaśnieniami typu „sprawy wagi państwowej”, „operacje w terenie” i apelami o cierpliwość. Bezpieczeństwo narodowe było czymś zanadto abstrakcyjnym, żeby wszystko nim tłumaczyć. Sara nie

miała ochoty na dalsze trwanie tej sytuacji, choć myśl o zerwaniu rozdzierała jej serce. Kochała go, ale ten typ relacji jej nie odpowiadał. Potrzebowała go, ale nie na odległość. Chciała związku bardziej otwartego, bez tajemnic i widm, wolnego od przemilczeń. Wykorzystała nieoczekiwaną wizytę Miguela, żeby zakończyć ich romans. Oboje płakali jak dzieci, lamentowali nad sobą jak dorośli i całowali się, jakby oboje byli skazani na śmierć – ale decyzja została już podjęta. Agent służb specjalnych Fernandez rozumiał, że oto realizacja marzenia zawodowego unicestwiła jego życie prywatne. Na to cierpienie nie było lekarstwa.

Od tego czasu w życiu Sary nie pojawił się już nikt. Ona też nie szukała okazji. Stała się niewzruszona w sprawie kolacji we dwoje, zaproszeń do kina czy teatru, SMS-ów z zawołowanymi propozycjami, uporczywych telefonów po nieoczekiwanych spotkaniach czy kontaktach autostopowych. Wołała być w domu i razem z ojcem oraz synkiem cieszyć się z rozmaitych wspólnych przedsięwzięć. Świadomość, że ci dwaj zawsze z nią będą, że nigdy jej nie zawiodą, stanowiła pociechę i dodawała jej pewności. Nie potrafiła zaprzeczyć, że Miguel nadal budził w niej wielką czułość i że nadal go kocha. Zdarzały się dni tak silnej tęsknoty, że trudno jej przychodziło zwalczyć w sobie pokusę zadzwonienia do niego, żeby się umówić, zobaczyć go – ale nie miała ochoty na życiowe komplikacje. Lepiej zdać się na mijający czas, który w swej odwiecznej mądrości nada w końcu rzeczom właściwy wymiar.

W związku z taką postawą rozrywkowe wyjścia Sary ograniczały się w ciągu tygodnia do spotkań z przyjaciółką w tej czy innej kawiarni oraz do imprez w szkole językowej z okazji zakończenia kursu, pożegnania któregoś z wykładowców albo przyjęcia kogoś nowego.

I właśnie przy jednej z takich okazji w życie Sary wkroczył Nahib Almallah.